ROZMAITOŚCI.

Dnia 5. Sierpnia | Nr 31. | Roku 1843.

Żeglarz napowietrzny.

Przed kilkoma laty, puściłem się był w daleką podróż wozem pocztowym. Przez dzień i noc całą toczyło się już moje o czterech kołach więzienie, a jeszcze nie było końca mojéj podróży, jeszcze przez dwa dni i noc całą trzeba mi było jechać na miejsce przeznaczenia mego. Kto się choć raz w życiu w wozie pocztowym znajdował, ten umie ocenić przyjemność światłego towarzystwa, które los mu przypadkiem nadarzy.

Drugiego dnia mojéj długiéj podróży, wszczęła się w naszém towarzystwie rozmowa o przypadkach, niebezpieczeństwach, których każden z nas w życiu swojém doświadczył. Jeden z towarzyszy, ajent kupieckiego domu, opowiadał, że doznał przy angielskiém wybrzeżu rozbicia okrętu, drugi, Francuz rodem, który odbywał kampaniję w Algiérze, dostawszy się w niewolę Arabów, widział już nad sobą błyszczący jatagan Beduina, lecz w téjże chwili litościwa kula francuzka ugadza w samo czoło zemstą dyszącego Araba. Trzeci znowu opowiadał, że przy pęknięciu parowego kotła na jednem z okrętów amerykańskich, wyleciał w powietrze do bajecznéj prawie wysokości, mało się co uszkodziwszy.

»Co mnie się tyczy«, odezwał się jeden z podróżnych, blady, młody mężczyzna, który dotąd przysłuchiwał się w milczeniu rozmowie, »nie byłem ja wprawdzie ani w podróżach morskich, ani też w ogniu bojowym, jednakże ta przygoda, którą przebyłem, jest nierównie niebezpieczniejsza, niż niejedna z waszych mości panowie, przynajmniéj ma ona za sobą zaletę rzadkiéj nowości.«

»Przed kilkoma laty bawiłem w Brukseli. Śmiały w moich przedsięwzięciach, bo takim byłem podówczas, postanowiłem z moim przyjacielem odbyć podróż napowietrzną. Poczyniłem wszelkie przygotowania, ale mój przyjaciel nie dotrzymał słowa, nie stanął na umówioną godzinę. Już chciałem sam wsiadać do mego napowietrznego powozu, gdy oto z koła ciekawych widzów, występuje jakiś nieznajomy i błaga mnie, abym go wziął z sobą w powietrzne przestrzenie. Zdziwiłem się z początku nad prośbą całkiem mi obcéj osoby, ale gdy błagając usilnie zapewniał mię uroczyście, że wszelkim moim rozkazom w téj podróży powolnym będzie, zezwoliłem na prośbę jego, i przyjąłem go za towarzysza mojéj podróży.

Mój obcy gość wskoczył z nadzwyczajną radością do łódki. Na dany przezemnie znak, rozwiązano sznury, balon uleciał, a my byliśmy w kilku już sekundach po-nad szczytami drzew.

Mój towarzysz nie okazywał najmniejszéj niespokojności, z zimną, obojętną twarzą patrzył przed siebie, jak gdyby się nie w kruchym, napowietrznym statku, ale w wygodném, poręczowém krześle, w godzinie poobiednéj znajdował. Zdawało się, że mój nieznajomy miał ptasią naturę, że powietrze było żywiołem jego. Aby wyżéj wzlecieć i lot przyspieszyć, wypróżniłem kilka worków z piaskiem, które z sobą wziąłem. Mój towarzysz widząc to, okazywał najżywszą radość i prosił mnie serdecznie, abym podobnież wszystkie worki wypróżnił. Nie chciałem na to zezwolić, ale on domagał się tego usilnie. Gdym go zapytał, dla czegoby życzył sobie tak wysoko wzlecieć? Odrzekł mi: iż się mocno lęka, aby go nie poznano.

Mniemałem, że mam przed sobą jakiegoś dziwaka, który idąc za pierwszym przystępem kaprysu, upodobał sobie w takiéj podróży, a teraz się obawia, aby go krewni lub przyjaciele jego nie poznali. Zapewniałem go przeto, że w takiéj odległości nikt go dostrzédz nie może.

Uwaga moja nie zmieniła jego przekonania, i zaczął na nowo usilnie nalégać, abym łódź balonową uwolnił od wszelkiéj ocięży. Ale w téj chwili żadną miarą tego uczynić nie mógłem, bo już wzbiliśmy się za wysoko; a że wiatr silnie nas ku morzu popędzał, miałem słusznie jakiego przypadku obawę; więc ofuknąłem cokolwiek mego towarzysza i prosiłem go, aby się spokojnie zachował. On mi nic na to nie odpowiedziawszy zaczął mruczéć jakieś urywane słowa, poczém zerwawszy się nagle, rzucił kapelusz w powietrze, nareszcie zdjął z siebie surdut, i toż samo uczynił. »O, co tak, to co innego!... Teraz dobrze«, zawołał radośnie, »teraz mniéj mamy ciężaru, teraz pójdziemy jak strzała aż pod samo słońce!« — To mówiąc, zaczął zdéjmować chustkę z szyi.

»Ale cóż robisz?« zawołałem z gniewem, »wszakże nawet przez śkła żadna żywa dusza nie dójrzy cię z ziemi.«

»O, nie mów tego mój przyjacielu«, odparł z trwogą, »lékarz van Espen ma oczy jastrzębie.«

Van Espen, jestto nazwisko lékarza, któremu dom obłąkanych przez niego dozorowany, głośne zrobił imię.

»Znaszże lékarza van Espen?«

»Czy ja go znam! Przez dwa lata więził mnie w swoim domu, wysilał się na wszystkie sposoby, aby się pastwić nademną. Nie było dnia, aby mi nie kazał krwi upuścić, lub mnie bez miłosierdzia zléwać zimną wodą! Dreszcz mnie przenika na samo spomnienie tego tygrysa! Dziś z-rana udało się mi umknąć z mego więzienia, teraz jestem spokojny, bo tu nikt mnie nie wynajdzie.«

Byłem więc w towarzystwie waryjata na słabéj, chwiejnéj, napowietrznéj łodzi, a podemną trzy tysiące stóp przepaścistéj głębi! Na pierwszą myśl skamieniałem z przestrachu. Gdyby też w przystępie szaleństwa, pomyśliłem sobie, rzucił się na mnie! Włos zjéżył mi się na głowie, na tę myśl straszną! Mój szalony towarzysz zaczął zawracać oczy i znowu wrzeszczéć: Wyżéj! wyżéj!« i tak wrzeszcząc, wszystko co tylko miał na sobie, zrzucał w przepaść powietrzną. Cóż było robić, milczałem w trwodze, nie chcąc jeszcze bardziéj draźnić gniewu jego. Ale któż wyobrazi sobie okropność moję, gdy ten szaleniec zrzuciwszy bóty i pończochy, zwrócił się do mnie, i straszliwym z całego gardła zawrzasnął głosem: »Jeszcze mamy w górę 10,000 mil drogi, a powóz nasz za ciężki, jeden z nas musi ustąpić!« Gdy tego domawiał, włos mu zjéżył się na głowie, konwulsyjnie zacisnął dłonie i straszliwym wzrokiem swoim ścinał krew w moich żyłach! O odporze nie można było ani pomyśléć, był silniejszym odemnie. Nie miałem żadnéj broni przy sobie; o, gdybym ją był miał, nie wahałbym się był ani chwilę zadać mu cios śmiertelny, i sądzę, że najsurowszy moralista, nie potępiłby takiego czynu.

Położenie moje było okropne, niesłychane. Wolałbym był walczyć z ludożercą lub z zgłodniałą hyjeną, niż się znajdować w napowietrznym okręcie wraz z szalonym człowiekiem, który jest głuchym na wszelkie zaklęcia, przełożenia i groźby. Zanim postrzedz zdołałem, porwał za trzy worki balastu, i puścił je w dół z szaleńską radością. Balon pomknął w górę z niepojętą chyżością. Ziemia zniknęła mi z przed oczu, gęste chmury roztrącały się o ściany naszego statku, otaczając nas ze wszech strón mglistym całunem. Na pół martwy leciałem co raz wyżéj i wyżéj z moim złowrogim towarzyszem, który zaczął sam z sobą mrukliwie rozmawiać: »Przeklęcie, uwięźliśmy jakby w trzęsawisku na jednem miejscu!« Te słowa cedził przez zęby okropnym głosem... »Masz żonę?« zapytał nagle obracając się do mnie.

Ja z równym pośpiechem, aby go na inne myśli naprowadzić i pobudzić do litości, odrzekłem posępnie: »Mam żonę i dziewięcioro małych dziatek, które jeźli ja umrę, zostaną sierotami bez chleba i opieki!«

»Ha, ha! Ja mam żon 300 i 5000 dzieci«, zawołał z piekielnym wskróś przenikającym szyderczym śmiechem.

»Gdyby mi twój ciężar nie zawadzał, byłbym już dawno powitał moję rodzinę!«

»Do stu piorunów«, odrzekłem, chcąc go tą myślą zająć. »Masz jak widzę, liczną rodzinę. Gdzież ona mieszka?«

»Na księżycu, tam teraz jadę, byłbym już dawno tam stanął, gdybym tylko sam jechał... a teraz... precz mi z tąd!«

To mówiąc, rzucił się na mnie z całą gwałtownością. — —

W saméjże chwili tego opowiadania nasz powóz pocztowy uderzył o coś tak mocno, że aż nami rzucił. Jedno koło zaczépiło się o ciężko-ładowną brykę, i nie minęła jedna sekunda, a jużeśmy wywróciwszy się, leżeli wszyscy w przygościńcowym rowie pełnym mułu i kału.

Szczęściem, nie doznaliśmy znacznego uszkodzenia, tylko nasz żeglarz napowietrzny dostał lekkiego guza na głowie, przezco w opowiadaniu jego zaszła kilko-godzinna przerwa.

Po naprawieniu powozu, wsiedliśmy znowu, a nasz towarzysz z przewiązaną głową, zaczął rzecz swoję tak wieść dalej: »Właśnie gdy wywrót powozu przerwał moje opowiadanie, doszedłem był w mojéj powieści do téj chwili, gdzie ów szalony porwał się na mnie, aby mnie rzucił w niezmierzoną przepaść. Gdy się między nami walka na śmierć lub życie wszczęła, w tymże samym czasie jasna błyskawica ślepi nagle nasze źrenice. Balon przeciął elektryczną chmurę, a w mgnieniu oka rozwinęło się pod naszémi nogami spaniałe widowisko piorunami gromnéj burzy. Zjawisko to sprawiło na moim szalonym towarzyszu mocne wrażenie, trwoga rozszczepiła jego dłonie, któremi mnie już był uchwycił. W tak straszliwéj chwili zbiéram wszystkie zmysły w pomoc, udaję odwagę i przemawiam uroczystym głosem: »Mniemasz słaby śmiertelniku, że bez méj pomocy przebędziesz bezbrzeżny przestwór powietrza, że nakażesz bić gromom, tak, jak ja w téj chwili nakazałem? Wiedz o tém, że cię chcę wyrwać z niewoli, jaką cię na ziemi uciemiężali, chcę cię zaprowadzić na łono twojéj rodziny, ale jeźli słowo przemówisz, ześlę piorun na twoją głowę, który cię w otchłań bez końca pogrąży! Nie wejdziesz w śrébrne krainy księżycowe, ale przepadniesz w czarnych przepaściach piekieł!«

Słowa te, które w każdym innym przypadku nie mógłbym był wyrzec bez głośnego śmiechu, zdawały się na umyśle mego szaleńca sprawiać niejakie wrażenie. Wzrok jego dziki łagodniał widocznie, zdumiony wpatrywał się we mnie. Ja obawiając się, aby skutek mojéj wymowy nie przeminął, nie ufając mojéj wyższéj, czarodziejskiéj potędze, chwyciłem się środka bardziéj prozaicznego.

Miałem flaszkę rumu przy sobie. Podając ją memu złagodniałemu waryjatowi, przemówiłem znowu głosem uroczystym i nakazującym, aby pokosztował tego niebieskiego nektaru, który go w nowego przeistoczy człowieka. Mój towarzysz przychwycił się z pożądliwością, i duszkiem wypróżnił flaszę. Libacyja ta niemało skutkowała, bo zapadł wkrótce w sen głęboki: Zaledwie mój straszny przeciwnik oczy przymknął, już mu skrępowałem nogi i ręce sznurami, które w podobnéj podróży są zwykle na pogotowiu; omotałem go tak mocno, że się ledwie mógł ruszyć.

Chociaż ze strony mego szalonego towarzysza nie miałem się niczego więcéj obawiać, jednakże trwoga nie ustępowała z mojéj duszy. Z tak niezmierzonéj wysokości, bez balastu, jakże się w dół spuścić. Posiliłem się trochę, poczęści dla nabrania odwagi, poczęści dla zaspokojenia głodu, bo powietrze w górnych warstwach, niezmiernie zaostrza apetyt.

Jak się to skończy, sam nie wiedziałem, tą się tylko cieszyłem nadzieją, że umrę nadzwyczajną śmiercią, i że moim skonem narobię w świecie więcéj hałasu, niż za mego życia. Smutnato wprawdzie była pociecha, ale innéj w mojém położeniu nie było. Pomyślałem o mojéj matce i błagałem ją w duchu, aby przebaczyła memu szaleństwu, które ją ciężkiego smutku nabawić może. Z tém wszystkiém, mimo to, że nie miałem żadnéj nadziei, jakieś tajemne przeczucie szeptało mi nieustannie: że jeszcze obaczę ziemię.

Śród takich myśli, balon mój pruł ciągle mgliste, mokre warstwy powietrza, zdawało mi się, że nieustannie idzie do góry.

Być może, że byłem w błędzie, ale nie mając w blizkości żadnego przedmiotu, do któregobym mógł był odnieść moje porównanie, byłem ciągle téj myśli. Przy bliższéj rozwadze ujrzałem, że balon na powierzchnéj stronie, utracił wiele ze swego połysku, że zwilgotniał gęstémi mgły tumanami. Nowa nadzieja wstąpiła we mnie. Jakoż ciężar balonu powiększony przez zwilgotnienie i przez krople rosy, które na jego powierzchni zawisły, sprawił to, że gondola zaczęła się na dół spuszczać, i nie trwało godziny, ujrzałem znowu ziemię! Radość, która wtedy moje przepełniała serce, da się tylko porównać z tém uczuciem, z jakiém marynarz po długiéj, niebezpiecznéj podróży, wita ląd stały.

Po niejakim czasie ujrzałem podemną miasto. Byłoto Leodyjum (Löwen). Gondoła moja szybowała już na jakie parę set stóp po nad szczytami domów, gdy mój obłąkaniec przebudziwszy się ze snu, zaczął się rzucać i gniewać za to, że go tak mocno spowito, iż się ruszyć nie może, i miotał przeklęctwa, że nie widzi księżyca.

»Gdzież moje 5,000 dzieci?«

»Tam oto«, rzekłem, wskazawszy na rynek miasta Leodyjum, gdzie się tłum ciekawych nazbiégał.

»Dalej śpieszniéj«, zawołał patrząc się na dół. »Niech po tak długiém niewidzeniu się, uścisnę moje małe dziateczki.«

Również i ja nie miałem innego życzenia, jak tylko stanąć jak najprędzéj na ukochanéj ziemi!

Nareszcie stało się zadość moim życzeniom! Balon spuścił się zwolna na rynek miasta. Ciekawy tłum mieszkańców zdziwił się nad napowietrznym statkiem, ale bardziéj jeszcze nad moim skrępowanym towarzyszem, który ciągle wołał: »Gdzież moje 5,000 dzieci?«

Udałem się natychmiast do komendanta placu, i oddałem w jego opiekę mego towarzysza, który mnie takiéj śmiertelnéj nabawił trwogi.

Od owéjto podróży, nie korci mię więcéj zwidzać balonem niebieskich szlaków i w wyborze towarzyszy podróżnych, jestem bardziéj ostrożnym.

BIBLIJOTEKA.

DYJALOG.*)

I.

Scena na wsi.

Pokój pana Antoniego cały zastawiony szafami, w nich bogato oprawne księgi, w około obrazy. Stół wielki przy oknie, założony papierami i książkami. — Pan Antoni siedzi przy nim i pisze.

SZAMBELAN (*otwierając drzwi*).

Upadam do nóżek waćpana dobrodzieja — a czy nie przeszkadzam?

PAN ANTONI (*wstając uprzejmie*).

Dla miłego sąsiada i gościa czas nie stracony.

SZAMBELAN.

Komplimenta mości dobrodzieju — komplimenta: u takich, jak pan dobrodziéj — czas drogi (*oglądając w około pokój*). Powiédz mi waćpan dobrodziéj, czy przed śmiercią (daj ci Boże Matuzalowe lata), potrafisz przeczytać wszystkie te księgi?

PAN ANTONI.

Już je od dawna przeczytałem — a coraz się więcéj zbiór bogaci — wychodzi dzieł tyle, że ledwie można nadążyć czytać. Dziękuję Bogu, żem doczekał tak bogatéj chwili dla literatury naszéj.

SZAMBELAN (*z podziwieniem*).

Przez miłego pana, mości dobrodzieju — chcesz mnie zdurzyć! czy podobna? tyle folijałów przeczytać! a to trzeba mieć ze dwanaście oczu, a do każdego oka osobną głowę! Nie żartuj zdrów sąsiedzie.

PAN ANTONI.

Mogę zaręczyć słowem.

SZAMBELAN (*przerywając*).

No wierzę ci dobrodzieju! ale nie może mi się pomieścić w głowie, na co się to przyda ślęczenie takie; a przyznaj, że to bez uszczerbku gospodarki być nie może. Czytać tyle książek, takie szafy ogromne! Mamci tam jednę podobną, ale to dobrodzieju, apteczka dawna, w niéj ratunek zdrowia i przekąski żołądkowe.

PAN ANTONI.

Nie wiém dla czego pan utrzymujesz, że to przeszkoda do gospodarki.

SZAMBELAN.

A tak, tak, dobrodzieju.

PAN ANTONI.

Teraz więc wyspowiadajmy się szczérze z użycia czasu, słucham jak pan dzień cały przepędzasz. —

---

*) Wyimek z pisma peryjodycznego warszawskiego: *Przegląd naukowy.*

SZAMBELAN.

Bardzo dobrze, zaraz ci dobrodzieju opowiém, a przekonasz się, że mam racyją: Na wieczór, przed kolacyją, przychodzi ekonom i gumienny, piję do nich wódeczkę, czystą anyżówkę, bo ja nie jestem arystokrata i pamiętam o swych ludziach, co cały dzień w pocie czoła pracują. Siadam, jak w zimowéj porze, przed kominem, i parę godzin upłynie, nim się ugadamy i zgodzimy na jutrzejszą dyspozycyją—ja tak, ekonom siak, jak to nie trzeba ci dobrodzieju mówić. Po zwalczeniu argumentów — staje dyspozycyja rozumna, bo na wytrawnéj dyspucie oparta. Potém jém kolacyją—i po modlitwie do łóżka! Śpię jak bobak, choćbyś z armaty dobrodzieju strzelił, to się nie obudzę tylko o swéj godzinie. Rano, punktum latem o piątéj—w zimie o szóstéj zrywam się, i sam panie dobrodzieju budzę czeladź, i muszę nieraz dobrze grzmocić, nim wszystko rozbudzę, szczególniéj w zimie rozmarzone. Musi wszystko być na nogach, choć dnia nié ma. W parę godzin robota się otwiéra, porządnie, bom pobudził i dał wczoraj dyspozycyją. Wracam więc sobie spokojny i lulkę kurzę i drzymię nieco: jużci objadowa godzina. Łyknę kielich anyżówki, zjém co Bóg dał, pogawędzę z moją żoną, pokrzyczę na rozpustną dziatwę, zapalam lulkę, drzymię nieco — aż ci już zmrok—jak w zimie. Latem zaś, nad wieczorem przejdę po podwórzu i idę znów spać, żeby rano wstać: bo to dobrodzieju niedaremna przypowieść:

»Kto rano wstaje,
Temu pan Bóg daje.«

Gdzież tedy mogę znaleźć chwilkę do czytania? Ja Kuryjera lub gazetę z całego tygodnia składam na niedzielę lub święto, aby mi co ciekawszego przeczytał dyrektor po obiedzie przy lulce — a wy, dobrodzieju czytacie takie stosy ksiąg, i to bez uszczerbku dozoru i pilności gospodarki wiejskiéj.

PAN ANTONI.

Równie szczérze opowiem panu mój sposób życia, trzymając się także przypowieści: »Że pańskie oko konia tuczy«, sam wszędy jestem, nie spuszczając się na nikogo. Latem o czwartéj rano wstaję i nie wracam aż o szóstéj, dopóki cała robota w ruch nie pójdzie. Potém śniadanie — od siódméj do dziesiątéj czytam i piszę. Siadam na konia, objeżdżam, aby ocenić postęp roboty. O jedénastéj wytchnę chwilę po pracy. O dwunastéj obiad. Po południu obchodzę robotę — bawię z żoną i dziećmi — poczém znów siadam na konia, towarzyszę fornalkom zwożącym siano i zboże—policzam kopy użęte—wieczorem gospodarski rachunek—idę na spoczynek. W zimie wstaję o czwartéj, czytam do szóstéj lub siódméj dopóki dzień nie rozświta, poczém osobiście przyglądam roboty wskazane. Godzina piąta już wieczór. Wtedy zostaje aż nadto czasu do rozrządzenia, czy bawić się rozmową, czy czytać. Tak dzień po dniu przeczyta się niemało — zbogaci umysł bez szkody gospodarskiego dozoru.

SZAMBELAN.

Fabuły to dobrodzieju, fabuły: a wiész o tém dobrodziejaszku, że z tak żelazném zdrowiem może sam jesteś w kraju, co mówię, na całéj kuli ziemskiéj. Gdzież to słychane rzeczy, tak męczyć codzień ciało i głowę.

PAN ANTONI (*z uśmiéchem*).

Gdybym te szafy — w miejsce książek — napełnił winem, likworami, wódką gdańską.

SZAMBELAN (*przerywając*).

Nie róbże mi dobrodzieju oskomy na te delicyje....

PAN ANTONI.

Wódką gdańską—anyżówką domową—sérem, bakalijami i starym miodem wypełnił, a wprowadziwszy cię szambelanie i wskazując, powiedział, że wszystko to zjém i wypiję w lat kilka...

SZAMBELAN

(*w uniesieniu, przerywając policzywszy pułki*).

Jabym to zjadł i wypił w jednym roku.

PAN ANTONI.

Czy uwierzyłbyś mi pan wtedy?

SZAMBELAN (*w radości*).

Uwierzyłbym i dziwiłbym się nad umiarkowaniem twojém dobrodzieju, bo ja, policzywszy pułki, i miasto tych gratów niepotrzebnych, ustawiwszy myślą butelki, gęsiory, karafki—zostawując stósowne miejsce na sér, słoje suszonych śliwek do przegryzki po anyżówce, a które tak wybornie przyprawia moja Małgosia; policzywszy do tego i miejsce na pierniczki migdałowe, korzenne, i z samym pieprzykiem — na suchy owoc, smażony, na gruszki w miodzie maczane, orzechy w miodzie zatopione, śliwki marynowane na sucharki z cukrem i cynamonem, które tak lubię — i na inne drobiazgi tak konieczne do gospodarstwa wiejskiego, ja ci głową moją ręczę, że w ciągu roku, nawet nieprzestępnym, chociażbyś dobrodzieju każdy miesiąc na dwadzieścia pięć dni obliczył jeno, zjadłbym, wypił, i zdrów jak ryba, spał jak dziécię niewinne.

PAN ANTONI (*z uśmiéchem*).

To dobry apetyt, jest czego powinszować.

SZAMBELAN (*miarkując swoje uniesienie*).

No, to się tak mówi tylko w zaufaniu.

PAN ANTONI.

A ja jednak wierzę ci szambelanie, chociaż jak niewierny Tomasz kręciłeś głową, gdym ci

zaręczył, żem wszystko czytał. Co mógłbyś zjeść i wypić to je......

SZAMBELAN (*przerywając*).

To wcale co innego, to nie popsuje oczu, nie szkodzi zdrowiu, ale owszem pomaga; a i to miło, mieć dla sąsiada butelczynę jaką, starego wina lub miodu.

PAN ANTONI (*wołając*).

Macieju, przynieś-no tego wina z pułki, co to starsze od twojéj siwizny.

SZAMBELAN.

Alem ja się nie przymawiał......

PAN ANTONI.

Nie posądzam cię szambelanie, ale nie chcę żebyś sądził, żem gromadząc tyle dla głowy i serca, zapomniał o żołądku.

SZAMBELAN (*kosztując przyniesione wino*).

Hm! dobre, wyborne—myszką na dobre traci—i obrączka spora, jak oliwa osiada—a niechże cię dobrodzieju uściskam; dawnom nie pił takiego staruszka (*wącha*). Co to za woń! tylko waćpan dobrodziéj przyłóż do nosa. Hę, a co? to sto lat zdrowia przybędzie?! (*popijając rzéżwo*). Ale wracając do naszéj rozmowy—Choćbyś mnie i pobił swémi argumentami, czego nie tuszę, przecież mi nie zaprzeczysz, że biblijoteka djable wyciąga grosiwó z kieszeni.

PAN ANTONI.

Prawda — ale wino i wódka nie mniéj kosztuje.

SZAMBELAN (*popijając*).

To wcale co innego dobrodzieju, tamte rzeczy niezbędnie potrzebne tak jak ptakowi powietrze, rybie woda, a tu dogadza się fantazyi. Proszę, na ten przykład: po-co czytać gazety co poczta? kiedy ja i bez tego u sąsiada się dowiém, jak przyjadę w święto w odwiédziny; nie, to na jarmarku — nie, to mi żydek faktor najlepiéj opowié. Po co czytać książki? — czy się człek nie naślęczał dosyć w szkołach! nie jeszcze człowiekowi porządnemu, gospodarzowi, ojcu dzieciom, jak żak do książki zaglądać? alboś-to dobrodzieju Jezuita, albo ksiądz profesor Pijar? co tak męczyli ojców naszych! Na co mi więcéj rozumu od profesora? a on, choć się temu poświęcił, pewnie z piasku bicza nie ukręci! Wreszcie powiém ci dobrodzieju, że te wszystkie gospodarcze książki djabła warte. Gospodarstwa upadają! dla czego? to książki zrobiły. Z ugoru trzech-polowego gospodarstwa, choć masz łąk i pastwiska dosyć, to się śmiecją. Jakże tu i święta ziemia ma rodzić, kiedy nie dają jéj wytchnąć w ugorze, tylko raz-wraz przewracają a sieją koniczyny i prawią, że ona sprawia grunt, że go mierzwi. Bajki, fabuły, co gnój to gnój, a co ziółko to ziółko! Ona wyssie wszystko z ziemi i będzie pusta jak ta butelka. (*Pan Antoni daje znak, Maciéj stawia drugą*). Książki to przewracają świat do góry nogami — zaraz żydów wygnano z arendy — odebrano karczmy — i każdemu gospodarzowi skurczył się mieszek. Gospodarują na nową modę i cóż mają? — biada! niepomni dawnéj przypowiastki: »Kiej biéda, to do żyda« — teraz i to z-ubożało, nié ma czém trząsnąć, a bywało u mego pana ojca—arendarz, jak trzeba było pieniędzy, tylko rudą brodę pogłaskał—zaraz trzos złota na stół. Ja mojemu pachciarzowi, żebym po włosku czarną brodę wyiskał, to ani setnéj cząstki nié ma. — Ziemia nie chce téż rodzić, co posieję po kartoflach pszenicy, to kłosy jak modnisiów łytki — a rzadkie jak wąsy młokosa. Książki to wszystko narobiły — jabym je spalił a nie kupował.....

MARYJA (*żona pana Antoniego wchodząc*).

O czémże pan szambelan tak żywo rozprawia?

SZAMBELAN (*całując w rękę*).

Nasamprzód upadam do nóżek asani dobrodziéjki, moja Małgosia ślicznie dziękuje za przepis na konfitury, kosztowałem — wyborne!...

PAN ANTONI.

Pan szambelan moja Maryjo, tak na książki powstał—dostało się i właścicielowi biblijoteki.

MACIÉJ.

Już na stole.

SZAMBELAN (*podając rękę Maryi*).

Nie mówmy na teraz o tém — i nie psujmy sobie apetytu (*wychodzą*).

II.

Scena w domu Szambelana.

Na kominie wielki ogień, przy nim w krześle siedzi Szambelan, drzémie i fajkę pali, przed nim mały stolik z butelką i jadłem. Żona Małgorzata ostrożnie stawia owoce smażone.

SZAMBELAN (*marząc*).

Wino wyborne — kapłon z serdelami przedziwnie smaczny, a majonezik cudowny. — Teraz uznaję, że można i książki czytać i miéć głowę nie do kształtu...

(*zbudzony przeciera oczy*).

Aa! tom już w domu — to ty moja Małgosiu szambelanowo — (*patrząc na stolik*) moje przysmaczki. Dziękuję ci mój ty aniele stróżu, ale nic nie będę jadł, chyba z kieliszek dla strawności.

MAŁGORZATA.

Cóż ci się stało szambelanie? — taki kawał drogi przetrząsłeś się!

SZAMBELAN.

Prawda rybeńko — alem się porządnie objadł u tych zacnych Antoniostwa. Bo wasani masz wiedzieć, moja szambelanowo — (a byłto zwyczaj, że się małżonkowie dla pamięci sąsiadów ciągle tytułowali, dla tego, że ojciec żyjącego i grzejącego się potomka, był drążkowym szambelanem króla Stanisława) — że mnie przyjęto *honeste*. Zacni to państwo. Siadajże rybeńko, opowiém waszeci wszystko co do joty. — Zajeżdzam, a kazałem Matusowi trzaskać z bicza, ale osioł pukawkę nasmarował tłustością i szczur w stajni ugryzł — a nie widział tego. Macha, macha a tu nic nie słychać. — Wchodzę, zastaję pana Antoniego w biblijotece. Powiadam ci szambelanowo, że mnie mróz przeszedł, spojrzawszy na tyle książek w ogromnych szafach! Pytam czy przeczyta kiedy? — on mi wręcz, że już wszystkie czytał. Ja mu palę drugi argument, że czytanie szkodzi gospodarce — on powiada: nie. Dopiéro ja, jak zacznę mu opowiadać, ile się przez dzień napracuję, że ani chwilki nié mam wolnéj do czytania, spuścił nos na kwintę, przeargumentowałem go zupełnie, aż w tym zacna małżonka jego nadeszła — i zaproszono na obiad. — W pół obiadu zjeżdza się liczne grono młodzieży — myślę sobie: będą pili, ja im łeb twardy pokażę — gdzie tam! zaledwie który wina skosztował, wołają: wody! wody! Czy to skończenie świata? myślę sobie. Po obiedzie, a był suty, powiadam ci szambelanowo, i porządniem boki wyładował sobie — mnie podano fajkę, reszta gości każdy do kieszeni i zapala cygaro. No, choć to nie smaczne w gębie, ale wygodnie dla gospodarza, bo mniejszy na tytoń wydatek. Pan Antoni prosi do biblijoteki, wchodzę już śmieléj, spojrzałem na te stosy książek, bom się z niémi zapoznał w dyspucie. — Myślę sobie: tu się dowiém o cenie zboża najprędzéj, jak okowita stoi. Gdzie tam, wyobraź sobie szambelanowo — choć to byli wszystko szlachta ziemianie, z roli żyjący, każdy jak po cygaro sięgnął do kieszeni i wyjmują różnéj wielkości książki. Myślę, czy się modlić będą? — wszakże nie kościół: a oni nuż pokazywać sobie jakieś w nich rarytasy, nuż w głos, jakby żaki deklamować — a wszyscy z wlepionéin okiem w czytającego, słuchali jak chłopi kaznodziei. — Ja palę lulkę — już mi się i drzymać odechciało, słucham, a wszyscy byli bardzo grzeczni dla mnie. — Jeden, co najwięcéj czytał, zbliżył się do mnie, prawił komplementa i powiedział w końcu: że jestem jakiś *typ*, czy *typ*, czy *sznyp* rzadkich już teraz ludzi. Choć nie zrozumiałem wyrazu, ale po uszanowaniu zmiarkowałem, że to nie drwiny. Odpowiedziałem więc przyzwoicie, kończąc komplementem: że miłoby mi było widzieć wszystkich pod moim dachem. Jeden z nich dowiedziawszy się, że waszéć szambelanowo Małgosiu, masz starą aptéczkę, aż podskoczył z radości, że przecież o czém tyle czytał zobaczy w istocie.

MAŁGORZATA (*z radością*).

Czy doprawdy?

SZAMBELAN.

Ma to być jakiś uczony, co pisze starożytności, zbiéra wiadomości o starych gratach — Otóż nasłuchałem się wiela nowych rzeczy: o kolejach żelaznych, co po nich bez koni jeżdzą, tylko tam jest jakoś, opowiadał mi jeden — ale nie pamiętam dobrze — że tylko podpalą, wody naleją, i bzik, leci szaleństwo prędzéj jak ptak. Mówili mi, że nie żydzi nasi, fa-ktorzy, targ stanowią, ale potrzeby Anglii — dość powiadam ci szambelanowo, że jechali aż do Ameryki, a podobno byliśmy i w Australii, bo niepomnę. Tak to ślicznie prawili, że ja, jak mnie znasz Małgosiu, przepraszam szambelanowo, choć stała butelka diablo wąsatego pleśniami węgra, przez trzy godziny jeno pół większe wypiłem. — Dopiéro jeden wystąpi, jak zacznie prawić o potrzebie uprawy ducha, o czytaniu i pracy umysłowéj — pobił mię — rozbroił. Gospodarz spojrzy z ukosa, a ja milczę jak zaklęty — alem w duchu myślał: sprawię ja wam niespodziankę. Honor nasz szlachecki, ba i szambelański wymaga tego. Słyszałem jak mówili ze zgrozą, że tylko kalendarz składa całą biblijotekę szlachcica — otóż ja wam pokażę przeciwnie. Każesz rybeńko szambelanowo, dyrektorowi dzieci zaraz pójść na górę, znieść szafę ze skłem, przywołać co tchu żyda, niech wprawi szyby; z dwóch pak dobyć księgi, okurzyć i znieść w porządku, dzieci pomogą znosić. Tu mi stół drugi przysunąć i układać — dziś nie śpię, choćby noc całą, aż wszystko przejrzę, uporządkuję.

MAŁGORZATA.

Ależ mój gołąbku! szambelanie! zaszkodzisz sobie.

SZAMBELAN.

Tu nie o zdrowie, tu idzie o honor. Śpiesz się moja dziéweczko — i zróbcie jak kazałem. — Przerażona Małgorzata takim zapałem do nauk swojego bobaka, dopełniła zlecenia — żyda przywiózł Matus galopem, co wprawił szyby do szafy. Szambelan przed ósmą wieczorem już ustawił na pułkach wszystkie książki, wtedy usiadł przed kominem i w te przemówił słowa wobec żony, dyrektora i zdziwionych synów: »Słuchajcie, nie dosyć jest jeść i pić, bo to i źwierzę musi i potrzebuje, ale trzeba myślić o głowie, by w niéj pstro nie było, nie latały sroki; trzeba myślić o sercu i o duszy. Nie dojdziecie tego inaczéj, jeżeli nie będziecie uczyć się czytać. Człowiek do saméj śmierci musi się uczyć, aby poznał, że jest głupi. To wam radzę. Zebrałem wam skarby ważniejsze jak moneta: księgi. Jam to słyszał od ludzi, którzy mają szafki większe, jak szambelanowéj, matki waszéj a mojéj miłéj małżonki aptéczka. — Jutro przyjadą tu sąsiedzi, ludzie młodzi ale uczeni — Waćpani szambelanowa, okażesz im wszystkie starożytności swoje — tylko je każ okurzyć i ze śniedzi oczyścić. A tu przy kominie niech stoi stół, gdzie spoczywam, i te księgi com wybrał niech leżą. Przekonałem się wczoraj, co znaczy człowiek..... (tu się zaciął, chciał powiedzieć *głupi*, i po namyśle dodał): Co znaczy człowiek, gdy nie czyta i nie idzie z czasem. Dla tego waćpan panie dyrektorze, nie pozwalaj, jak dotąd wróble wykręcać ze stodół i z wierzb — zaganiaj do nauki, a gazety co poczta regularnie odbierać i zaraz mi czytać. — Dobranoc! spać chłopcy a rano wstać.«

Pani szambelanowa zdumiona, przerażona, patrzała w milczeniu, co się stało mężowi. Jeszcze jak z nią żyje (a już odbyli srebrne wesele) tak długo i z taką powagą nie mówił, ani tak uczenie! Szambelan zmęczony, siedząc w krześle, nie drzymał ale sam prawił do siebie: »Daj Boże, by z téj zmiany co lepszego było!« — Poczém ze stołu sprzątnał kalendarz, wróżący pogody, deszcze i mrozy, położył w tém miejscu stara kronikę, i zadumany poszedł spocząć strudzony. Kiedy po modlitwie i życzeniu dobrej nocy swojéj poczciwej Małgosi, legł na łożu, usłyszała te z-cicha wyrzeczone słowa: »Boże daj na lepsze!«

K. LODWALSKI.

Dopisek redakcyi »Przeglądu naukowego.«

Dyjalog ten zamieszcza redakcyja nie dla tego, że pochodzi z pióra znakomitego i zasłużonego w piśmiennictwie naszem autora i badacza, lecz dla tego, że między szlachtą wiejską wielu bardzo jest panów szambelanów. Może też który, zobaczywszy zmianę w podobnym sobie, zechce się także poprawić, a Przegląd — choć ani myśli dla szlachty pisać i zamieszczać artykuły — sądzi jednak, że nie będzie sprzecznem z jego dążeniem, wyrażonem w godle „Miłość Ludu“, zamieścić czasem i urywek zmierzający ku temu, aby niektórzy otworzyli sami na siebie oczy.

ZE LWOWA.

Tygodnika rolniczo-przemysłowego pod Redakcyją T. W. Kochańskiego, wyszedł N. 31. i obejmuje: 1) O rolnictwie i jego kombinacyjach, na rachubie opartych. 2) Czy dobrze jest uczyć się rolnictwa od chłopka? 3) O zimowém utrzymaniu krów. (Dokończenie). 4) Wiadomości czasowe: Wymioty gnojowe u owiec.

Nakładem księgarni Jana Milikowskiego wyszły w Wiédniu: *Rozmaitości dla ludu wiejskiego*, zebrane przez Juliję G***. Część I. w 12ce str. 196. Dziełko z powodu pożytecznego celu swego ze wszech miar zasługujące na uwagę. Autorka objasnia w niém zajmującym sposobem chłopkom naszym naukę religii, gospodarstwa i t. p. udziela potrzebnych wiadomości, które przeplata ciekawémi i do pojęcia gminnego zastosowanémi powieściami, wierszami, zabawami, zagadkami i piosnkami wiejskiémi.

Drukarnie polskie. Przy wzrastającém coraz bardziéj zamiłowaniu w bibliografii polskiéj, sądzimy, iż zrobimy przysługę osobom mniéj biegłym w księgoznawstwie, udzielając tutaj chronologiczny wykaz miejsc dawnéj Polski i prowincyj, jéj podległych, w których istniały drukarnie, z oznaczeniem: kiedy w nich i jakim językiem najsamprzód księgi drukowane były: Kraków druki sławiańskie roku 1490, łacińskie 1503, hebrajskie 1530, polskie 1533, węgierskie 1534, niemieckie 1548; Gdańsk 1491; Targowica sł. 1512—1649 p. 1792; Wilno sł. 1525, ł. 1576, p. 1593 (1555?); Pułtusk ł. 1533; Poznań ł. 1539, p. 1579; Królewiec (Königsberg) ł. i p. i litewskie 1551; Brześć litewski p. 1554—1566; Chełmno (Kulm) 1554; Elbląg 1556; Szamotuły (Sambter) p. 1558; Lublin heb. 1559, ł. 1622, p. 1636; Łucławice (wieś w obwodzie bocheńskim w Galicyi) ł. 1560—1574; Łaszczow p. 1561—1610; Kozminek p. 1561; Nieśwież sł. 1562, p. 1568, ł. 1609; Łowicz ł. 1566, p. 1760; Zabłudow sł. 1568; Toruń ł. i p. 1569; Węgrów ł. 1570; Lwów (w Galicyi) ł. 1570, sł. 1573, p. 1581, ormiańskie w XVII. wieku, n. 1772 i hebr.; Grodzisko pols. około r. 1571, n. 1580; Raków p. 1572, ł. 1636; Łosk ł. 1573, p. 1572—1580; Warszawa p. 1577, ł. 1632, włoskie około 1646, niem. i francuz. około 1734, sł., hebr., rossyjskie; Słoboda sł. 1577; Knyszyn ł. 1580; Ostrog sł. 1580; Kowno p. 1584; Płock ł. 1586, p. 1811; Brunsberg 1590; Lubecz nad Niemnem ł. 1592, p. 1623; Zamość ł. 1593, p. 1617; Nowy Wereszczyn p. 1597; Kalisz p. 1603, ł. 1630; Sejny p. 1603; Stratyń (wieś w obwodzie brzeżańskim w Galicyi) sł. 1604; Dermań (monaster) sł. i p. 1604; Kryłos (wieś pod Haliczem w obwodzie stanisławowskim w Galicyi) sł. 1606; Paniowce ł. 1606, p. 1611; Jewie sł. 1611, p. 1634; Dobromil (miasto w obwodzie sanockim w Galicyi) ł. i p. 1612; Oszmiana p. 1615; Mohilow sł. 1616, p. 1783; Poczajów sław. 1618, pol. 1732; Dąbrowa (miasteczko w obwodzie tarnowskim w Galicyi) ł. 1618; Kijow sł. 1618, p. 1635; Jaworów (miasteczko w obwodzie przemyskim) p. i ł. 1619; Uherce (wieś w obwodzie samborskim w Galicyi) sł. 1620; Jarosław (miasto w obwodzie przemyskim w Galicyi) p. 1622, ł. 1625; Wielkanoc p. około 1625; Czetwertnia sł. 1625; Baranów (miasteczko w obwodzie tarnowskim w Galicyi) p. i ł. 1628—1647; Łuck sł. 1628, p. 1690; Leszno cz. 1631; ł. 1634, p. 1638 i niem.; Kutejńsk (monaster pod Orszą) sław. 1632—1653; Bajnicze sł. 1633; Dołhopole (wieś w obwodzie czerniowieckim w Galicyi po wołosku: Kimpolung rus.) sł. 1635; Krzemieniec sł. 1638, p. 1811; Czernichów sł. 1646, p. 1680; Kościana (Kosten) 1648; Dolsk sł. około 1649; Białynicze p. 1652; Sławuta hebr. około 1650; Sokal (miasto w obwodzie żółkiewskim w Galicyi) hebr. 1650—1670; Kiejdany niem. i litewskie r. 1653; Wschowa (Fraustadt) ł. 1660, p. 1782; Uniów (w obwodzie złoczowskim w Galicyi) sł. 1669; Oliwa ł. i p. 1673; Słuck p. 1674; Nowogródek siewierski sł. 1675, p. 1676; Rochmanow sł. około 1680; Jassy sł. 1680; Częstochowa pol. 1683, ł. 1763; Szlichtynkowo ł. 1693; Klince (w gubernii czernigowskiéj) sł. około 1700; Supraśl pol. i łac. 1713—1796; Piotrków ł. 1714, p. 1793; Sandomiérz p. 1716, ł. 1754; Pińsk ł. 1729; Mokrzko pols. 1732; Przemyśl (miasto w Galicyi) p. i ł. 1754, niem. 1780, sł. 1829; Tartaków (miasteczko w obwodzie żółkiewskim w Galicyi) hebr. przed r. 1754; Rawicz ł. 1759, pol. 1808; Podhorce (wieś w obwodzie złoczowskim w Galicyi) łac. 1760; Połock łac. i pol. około 1772; Słonim p. 1772; Grodno pols. i hebr. 1779, sł. 1798; Tarnow (miasto w Galicyi) ł., p. i n. 1789; Sambor (miasto w Galicyi) p. 1790; Jaryszów p. 1792; Machnówka p. 1804; Radom p. 1811; Mińsk p. 1812; Bydgoszcz (Bromberg) p. i n. 1814; Kielce p. 1814; Łomża p. 1817; Białystok p. 1817; Tarnopol (miasto w Galicyi) hebr. i n. 1817; Berdyczow p. 1818; Minkowce p. 1819; Siedlce pol. 1820; Suwałki p. 1820; Żółkiew (miasto w Galicyi) h. 1820; Bochnia (miasto w Galicyi) p. 1822; Wadowice (miasto w Galicyi) 1827; Stanisławów (miasto w Galicyi) p. 1830; Rzeszów (miasto w Galicyi) pol. 1842; Czerniowce (miasto na Bukowinie). — Prócz tego drukowano książki polskie w następujących miastach cudzoziemskich: Biała w Prusiech wschodnich roku 1536; Wrocław 1595; Praga czeska 1599; Augsburg r. 1618; Amsterdam 1650; Antwerpija 1667; Brzeg (Brieg) 1667; Paryż 1668; Oleśnica (Oels) 1671; Lewocza (Leutschau) 1687; Krosna (Krossen) 1690; Lipsk 1708; Szczecin 1711; Opawa (Troppau) 1730; Nancy 1761; Rzym 1780; Parma 1807; Wiedeń 1815; Opol 1821; Cyllichowo (Züllichau); Drezno; a ostatniémi czasy: Petersburg; Moskwa; Berlin; Londyn; Bruksela; Filadelfija (w Ameryce); Avignon; Agen; Bourges; Poitiers; Strasburg; Mont de Marsan; Wersal. — Księgi słowiańskie dla użytku ludu ruskiego i polskiego drukowano za granicą: W Wenecyi roku 1493; w Pradze czeskiéj r. 1517; w Rzymie, Amsterdamie, Wiédniu, Budzie. — Prócz tego jest bardzo wiele miast zagranicznych, w których począwszy od końca XV. wieku, łacinskie dzieła przez Polaków pisane wychodziły. —†—

Prawo chronienia się zbrodniarzy po kościołach, nie jest w prawdzie w Rzymie całkiem zniesione, ale uległo wielu zmianom. Jak wiele innych obyczajów i praw tak i ten zwyczaj przyjął kościół rzymski z wieków starożytnych: że gdy zbrodzień schroni się do świątyni pańskiéj, żadne prawo świeckie za progiem kościelnym ścigać go nie może. Że ten zwyczaj dał pochop do wielu zbrodni, nie podléga żadnéj wątpliwości, z tąd też można sobie wytłumaczyć, dla czego tak wiele zbrodni popełniano w tém świętém miejscie. Obecnie zniesiono ten przywilej kościoła poczęści i władza świecka może użyć swego prawa w kościele, jeżeli idzie o następujące zbrodnie: 1) o zniszczenie relikwii i obrazów Świętych. 2) o zniewagę kościoła. 3) o obrazę duchownéj osoby w ornacie. 4) o zbrodnię stanu. 5) o skrytobójstwo. 6) o rabunek na publicznym gościńcu. 7) o fałszerstwo monety.

Redaktor Jan Nep. Kaminski. — Nakładem Spadkobierców Franciszka Krattera.

Drukiem Piotra Pillera.